



MEDIA

SYLWETKA

JERZY B. WÓJCIK

NA CZELE KARAWANY

Jerzego B. Wójcika droga
na szczyt Agory. Kim
jest człowiek, o którego
walczy Adam Michnik

DOROTA BORUSZKOWSKA



Człowiek, dla którego redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” rozdziera szaty niczym Rejtan i grozi, że odejdzie z „Gazety”, urodził się w 1965 roku w Kijanach pod Lublinem. Ale dla „Gazety” wyłonił się z mgły zasieków na granicy polsko-niemieckiej, z kurzu i spalin tranzytowych dróg. – Redaktorzy z Warszawy byli przekonani, że Gorzów leży rzut beretem od granicy – śmieje się Wójcik. – Nie wyprowadzaliśmy ich z błędu, tylko obstawialiśmy tę granicę. W latach 90. hulały tam mafia, przemyt, czuliśmy się jak na planie filmu „Prawo i pięść”.

BĘDZIEMY TU PALIĆ?

Zanim Jerzy B. Wójcik migrował ze wschodu na zachód kraju, zaliczył polonistykę i filozofię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. – To była zupełnie inna uczelnia niż dziś. Zbieranina opozycjonistów, rozrabiaków i rogatych dusz. I tych, którzy uciekali przed wojskiem. Na każdym kroku bibuła z całej Polski, wszyscy dyskutowali i knuli – podkreśla. Więc dyskutował i knuł.

I dyskusje, i knucie pamięta Paweł Krysiak, dziś redaktor naczelny redakcji „GW” w Lublinie, bo w latach 1986–1991 studiował na KUL socjologię. – Poznaliśmy się w akademiku przy ul. Sławińskiego (dziś Niecała). Na każdym piętrze była czytelnia. Powlokłem się tam o pierwszej w nocy, aby kuć do egzaminu. Nagle weszła zaspana postać, narobiła szumu, poprzestawiała stoliki, żeby mieć jak najwięcej światła na swoje książki. „Nikogo nie ma, to chyba będziemy tu palić, co?” – zagadał. I zapaliliśmy. A potem gadaliśmy, gadaliśmy, gadaliśmy. O esejach Brodskiego, o tym antykomunizmie Józefa Mackiewicza, o koncepcji sensu zbiorowego Mirosławy Marody, o filmie Wajdy „Niewinni czarodzieje”, o Andrzej Bobkowskim. A nad ranem o wielkiej fascynacji Jurka, czyli legendarnym redaktorze „Wiadomości Literackich” Mieczysławie Grydzewskim – wspomina Krysiak.

W przeddzień 4 czerwca Wójcik zaproponował Krysiakowi, by pojechali agitować do Kijan. Bo w Lublinie wszystko dobrze działa, a tam może zabraknąć ludzi do kampanijnej roboty. – W 1989 roku nie było przepisów o ciszy wyborczej i agitacja była dozwolona. Staliśmy więc z Jurkiem od rana przed lokalem wyborczym, rozdawaliśmy ulotki i przekonywaliśmy ludzi, by głosowali na Solidarność. Po południu, kiedy myśleliśmy już o obiedzie, zobaczyliśmy staruszkę w przedwojennym wojskowym mundurze. Zatrzymał się i spojrzał Jurkowi prosto w oczy. „Pierwszy raz po wojnie przyszedłem na wybory. Niech mi pan powie, czy będzie z tego wolna Polska?” – zapytał. Jurek wyprężył się jak postawiony do raportu: „Będzie. Obiecuję to panu”. Obaj czuliśmy, że wydarzyło się coś ważnego i symbolicznego. I że ta odpowiedź zabrzmiała jak zobowiązanie na całe życie. Dlaczego ten stary żołnierz podszedł do Jurka, a nie do mnie? No cóż, nie wyglądałem na komendanta, a Jurek tak. Jurek to lider – nie ma wątpliwości Krysiak.

Dlatego wiosną 1993 roku bez wahania odpowiedział na wezwanie Wójcika. „W Gorzowie próbuję zakładać ostatni oddział „Gazety Wyborczej”, bo tylko tu jest biała plama. Nie wiem, jak to będzie, jak chcesz zaryzykować, to przyjeźdź. Świetnie pi-

szesz, szkoda to zmarnować” – pisał Wójcik do Krysiaka, który od roku był urzędnikiem samorządowym w swojej rodzinnej Rzęśni w Łódzkiem. Złożył wójtowi wypowiedzenie i wyruszył na zachód.

Jeszcze wcześniej Wójcik ściągnął do Gorzowa Wielkopolskiego Dariusza Barańskiego. – Jurek to mój kolega z akademika – dzieliliśmy pokój, mieszkaliśmy na stacji. Gdy wżenił się w Gorzów, szukał przyjaciół, którzy by do niego dołączyli. Dołączyłem więc. Założyliśmy wydawnictwo, w którym Jurek wydał książkę o Mieczysławie Grydzewskim – mówi Barański, który wciąż pracuje w gorzowskiej redakcji.

Jak opowiada jeden z dawnych kolegów, Wójcik przyjaźnił się ze Stefanią Kossowską, prawą ręką Grydzewskiego i opiekunką jego spuścizny. – W jej londyńskim domu w latach 80. ślęczał do magisterki nad starymi numerami londyńskich „Wiadomości”. Ma wielką i ciężką głowę, więc czytając, podpierał ją rękami. Pani Stefania opowiadała, że przy tym czytaniu pościelał łokcie do krwi.

A Krysiak dodaje: – Ten Grydzewski to chyba jego miłość na całe życie. Wydawnictwo nazywało się Silva Rerum, a była to rubryka w „WL”, w której Grydzewski publikował felietony. Historia tego wydawnictwa pokazuje, z czym Jurek zmagał się w „Gazecie Wyborczej”. Trzeba być niezależnym, zarobić na wolnym rynku, ale jednocześnie, a może przede wszystkim, robić rzeczy piękne, wartościowe, zmieniające świat. I tak pierwszy opasły tom felietonów Grydzewskiego wydało nieznane wydawnictwo w Gorzowie, a nie na przykład paryska „Kultura”.

WIELU ZAKOCHANYCH

Ale to dzięki paryskiej „Kulturze” Wójcik nie osiadł na emigracji. Wracał właśnie z Paryża ze świeżymi numerami. Miał przystanek niedaleko Akwizgranu, gdzie za przyjaźnieni Niemcy proponowali, że załatwią mu azyl. – Miałem odpowiedzieć rano, біłem się z myślami, wreszcie w nocy wyciągnąłem z plecaka jeden egzemplarz, akurat z „Raportem z oblężonego miasta”. Natrafiłem na wiersz „Powrót Pana Cogito” i frazę: „pytania z pozoru proste / wymagają zawilej odpowiedzi”. I wszystko już było jasne. Wróciłem i nigdy nie żałowałem – wspomina.

W plecaku przewoził nie tylko wydawnictwa emigracyjne. – Jeszcze w latach 80. ściągał najprawdziwsze płyty Jacka Kaczmarskiego, mam jedną taką z Australii – przypomina sobie dawny kolega Wójcika.

Na studiach dużo czasu spędzał w Londynie, współpracował z tamtejszą emigracją, woził dla podziemia bibułę, materiały, kasę. – Gdy zaczął się Okrągły Stół, byłem pewien, że komuna przetrwa. Pracowałem wtedy w londyńskim wydawnictwie Polonia. I choć miałem dziewczynę na studiach, to Paweł Krysiak, kumpel z KUL-u, namówił mnie do powrotu – przyznaje Wójcik. Ta dziewczyna, Justyna, jest do dziś jego żoną. – Poznałem ją na wykładzie z romantyzmu. I to z miłości znalazłem się w Gorzowie. Po studiach Justyna dostała pracę w dobrym liceum w rodzinnym mieście z obietnicą mieszkania służbowego, a to było coś – uśmiecha się. Dziś mieszkają na warszawskich Zawadach. Mają córkę Weronikę, syna Macieja i dwuipółletniego wnuka Maksia. →

Gdy powstawał ostatni oddział „GW” – gorzowsko-zielonogórski pod szyldem „Gazeta Zachodnia” – Krysiak, Barański i wielu innych w nim się odnalazło. – W tych pionierskich czasach Jurek pisywał artykuły, ale zasadniczo zarządzał całym zespołem gorzowskim, z biura wydawnictwa zresztą. Ja i Irek Klimczak ciągnęliśmy przez jakiś czas na dwa fronty, trochę w Silva Rerum, trochę w „Gazecie” – wspomina Barański. Ireneusz Klimczak, wciąż pracujący w oddziale gorzowskim, kategorycznie odmawia rozmowy o Wójciku.

Pierwsza redakcja mieściła się w zabytkowym domu na rogu Hawelańskiej i Wełnianego Rynku. Na początku lat 90. pod kamienicą handlowano towarami z Niemiec, prosto z łóżek polowych. Obok były ze dwie księgarnie (dziś nie ma po nich śladu), jakieś knajpy. Redakcja to dwa, trzy pokoje w ponemieckiej kamienicy. Skrzypiące schody obite linoleum. Igłowa drukarka i olbrzymie dyskiety, przedpotopowe komputery z monochromatycznymi ekranami. I wszędzie logo „Gazety” – maluje pejzaż jeden z dawnych pracowników. Potem przenieśli się do lepszego lokum, na Sikorskiego. To już był prawdziwy newsroom. Z niego Wójcik wyruszył na podbój Warszawy.

Na parę lat w pracy redakcji włączył się Wojciech Cieśla, dziś prezes Fundacji Reporterów. – W 1993 roku krążyłem między domem w Gorzowie a studiami w Poznaniu. W pociągu zaczęli mnie Artur Brykner, już nieżyjący kumpel z gór i harcerstwa, postać charyzmatyczna. „Słuchaj, robimy »Wyborczą« w Gorzowie, może wpadniesz?”. Czasy były dynamiczne, ale „Wyborcza” w małym Gorzowie to był wciąż jednak kosmos. Nie rwałem się do pisania, ale miałem lekką kreskę, sporo rysowałem, więc Jurek Wójcik zrobił ze mnie rysownika. „Gazeta” drukowała się jeszcze w ołówiu i na linotypach, zdjęcia wyglądały jak rozmazane plamy, wygodniej było zastąpić je rysunkami. Zostałem na kilka lat, dojeżdżałem do redakcji z doskoku – opowiada Cieśla. I dodaje: – Wójcik miał świetną rękę do ludzi i niezwykle autorytet. Redakcja w Gorzowie to był gejzer, w sennym miasteczku na pograniczu ktoś wreszcie robił porządne dziennikarstwo. Do tego Wójcik jest erudyta, potrafi uwodzić cytataми z Grydzewskiego albo rozważaniami o Williamie Blake’u. Wielu było w nim zakochanych. Gdy w końcu odszedł do Warszawy, nikt już nie był w stanie zasypać tej dziury – opowiada Cieśla.

Lata pionierskie z rozrzuconiem wspomina także Paweł Krysiak. – „Wyborcza” przyciągała wspaniałych młodych ludzi. Robiliśmy w tym Gorzowie rzeczy niezwykle. Dwujęzyczna „Gazeta Pogranicza”, wielkie miejskie wydarzenia jak „Dzień Pioniera” czy stulecie tramwajów, i wiele innych przedsięwzięć, które sprawiały, że byliśmy potężną instytucją lokalną zmieniającą miasto na lepsze – wylicza Krysiak.

A Dariusz Barański podkreśla zasługi Wójcika: – Wygadany, przekonujący, nie bał się wyzwań. Taki sam był podczas naszych młodzieńczych podróży autostopem po Europie. Jurek jest wciąż moim przyjacielem, choć rzadziej się widzimy. Ale mamy kontakt stały, choć służbowy, bo prowadzę magazyn „Słówka”.

Jacek Rakowiecki, pierwszy szef redakcji lokalnych „GW”, na przełomie 1991 i 1992 roku nadzorował powstanie „Gazety Zachodniej”. Szykowana była w podzielnym przepiernieniu pomieszczeniu na piętrze biblioteki w Zielonej Górze. Rakowiecki pamięta, że tylko materiały, które Wójcik przywiózł z Gorzowa na dyskietce, nadawały się do publikacji, a te dotyczące Zielonej Góry trzeba było wymyślić i napisać.



↑ **DA SIĘ ZACHOWAĆ MISJĘ**, a jednocześnie zarabiać i rozwijać – mówi Wójcik. Tu podczas spotkania z wydawcami z Japonii, siedziba „GW”, 2019 rok

↓ **– ZWOLNIENIE FUSKA TO BYŁA NAJTRUDNIEJSZA DECYZJA**, jaką w życiu zawodowym podjąłem – mówi Wójcik. Konferencja w 2005 roku (Wojciech Fusek z prawej)



Pierwszy numer ukazał się 1 lutego 1993 roku, następne wychodziły w trybie tygodniowym, częstotliwość zwiększała się stopniowo. Od początku silnym ogniwem była redakcja gorzowska. Wójcik zarządzał zespołem i zabiegał, by materiały jego dziennikarzy ukazywały się na łamach głównego grzbiotu, a nie było to wtedy łatwe. – Bardzo kreatywny, zaangażowany, chłonał uwagi, wyciągał wnioski – tak zapamiętał Wójcika Rakowiecki.

Z Wójcikiem świetnie dogadywał się Maciej Krzyślak, pierwszy redaktor naczelny „Gazety Zachodniej”. – Kiedy zostawałem szefem oddziału, Sewek Blumsztajn powiedział mi, że w Gorzowie jest facet, który chętnie zaangażuje się w robienie gazety. Zaprosiłem Jurka do współpracy. Na jego barkach spoczywała gorzowska redakcja, a miał bardzo dobry kontakt z ludźmi. Był moim zastępcą, przyjeżdżał do Zielonej prowadzić numery. Trafił mu się staż w Warszawie, w dziale promocji nakładu, który tworzył Piotr Pacewicz, a jednak wrócił do nas. Potem, gdy ja poszedłem na szefa do Rzeszowa, został naczelnym „Gazety Zachodniej”. A następnie Andrzej Stefański zaproponował mu stanowisko swojego zastępcy w „Gazecie Stołecznej” i Jurek na dobre przeniósł się do stolicy – wspomina Krzyślak.

Wojciech Bartkowiak, zastępca redaktora wydawniczego „GW”, wcześniej szef redakcji lokalnych, a jeszcze wcześniej naczelny redakcji poznańskiej „GW”, nie tylko spotykał Wójcika na zjazdach szefów, ale też współtworzył z nim „Gazetę Pogranicza”. – O wychowankach Wójcika, którzy potem sprawdzili się w „Wyborczej”, mówiło się wręcz „mafia gorzowska”. Włodek Nowak,

znakomity reportażysta, Paweł Krysiak, Darek Barański, Waldek Paś... A to tylko niektórzy – wymienia Bartkowiak.

Jerzy Sawka, były szef redakcji lokalnych „GW” w Szczecinie i Wrocławiu, wypowiada się w podobnym tonie. – Rządził Gorzowem, fajną ekipę stworzył, energiczną, z pomysłami. Chciałem kiedyś ściągnąć go do Szczecina. Zapytał żartobliwie, ile może zarobić i nie było ciągu dalszego – wspomina Sawka.

NA PODBÓJ WARSZAWY

Seweryn Blumsztajn, dziś w Agora Holding, a w latach 90. dyrektor oddziałów „GW”, pamięta Wójcika jako pracownika czytającego i kipiącego pomysłami. – Jest typem przywódcy – podkreśla Blumsztajn. Uważa, że Wójcik to główny autor sukcesu „Wyborczej”. – Udało mu się przewalczyć model subskrypcyjny, on uratował „Gazetę” przed spadkami, zapewnił jej też dofinansowanie z fundacji i projektów europejskich – wymienia.

Krysiak: – Kiedy Jurek odchodził do Warszawy, ludzie, którzy go znali, nie tylko z redakcji, zorganizowali imprezę pożegnalną w Jazz Clubie pod Filarami. Lokal pękał w szwach. Były scenki teatralne, przemówienia i mnóstwo przygotowanych na tę okazję piosenek. A po północy przy pianinie usiadł Darek Barański i zaśpiewał przeróbkę pieśni Bułata Okudźawy: „A przecież mi żal, że po Gorzowie nie przechadza się Wójcik”. No i ludzie się popłakali. Przypomniałem sobie tę noc właśnie teraz, podczas przesilenia w Agorze, kiedy po informacjach o próbach zwolnienia Jurka z funkcji wydawcy w jego obronie podpisało się w ciągu kilku godzin ponad 300 pracowników „Wyborczej”.

Powołanie do pracy w Warszawie dla ludzi z oddziałów zawsze było wyróżnieniem. Ale trzeba było na nie zasłużyć. A Wójcik bardzo się starał.

– Nie było jeszcze komórek, a modemy rwały połączenia, więc czas liczył się podwójnie – zaczyna opowieść Wójcik. – Pewnego październikowego dnia 1993 roku radio podało, że jakiś szaleniec z Polski stoi na balkonie w Hamburgu i grozi granatem. I że jest z Gorzowa. Zwołałem wszystkich, łącznie ze sprzedawcami ogłoszeń, i oznajmiłem: „Nie ma zmiłuj, mamy osiem godzin, żeby go namierzyć”. Ktoś znał kogoś w szpitalu, inni mieli kontakty w jakichś urzędach. I udało się ustalić personalia gościa, zebrać szczegóły. Usiadłem do komputera, a ludzie zza pleców dyktowali mi to, czego się dowiedziałem. Zadzwoniłem do Piotra Pytlakowskiego, który wtedy był szefem reportażu, że wysyłam materiały, i żeby szykował miejsce w gazecie. Następnego dnia mieliśmy newsa na jedynce z przełotem na trójkę, a dwa dni później całą stronę reportażu. Po tym do naszej redakcji przyszedł faks: „Kochani” – od razu po zagajeniu rozpoznałem, że pisała Helena. A dalej mniej więcej tak: „Wielkie uznanie dla całej załogi Jurka Wójcika. Świetna robota”. Podpisane: Helena Łuczywo, Adam Michnik, Julek Rawicz. Znowu zwołałem wszystkich i czytałem im te parę zdań ze cztery razy. Wtedy poczułem, jaką mam zgraną i wartościową ekipę!

Poczuł też moc, bo uznanie Heleny Łuczywo zawsze była silną walutą: trudno ją zdobyć, ale i łatwo stracić. Wójcik wciąż się nią cieszy, choć bywało, że popadał w niełaszkę.

Gdy Helena zadzwoniła, był akurat od miesiąca na trzymiesięcznym stypendium na uniwersytecie Duke’a. – Zupełnie nie przejmowała się różnicą czasu. W Karolinie Północnej była szósta rano. „Jureczku, kiedy wracasz, bo mam do ciebie sprawę.

Ale nie przejmuj się, to nic złego...”. No i po dwóch miesiącach prosto z lotniska pojechałem do redakcji.

Helena Łuczywo zaoferowała mu pracę w dziale promocji nakładu, którym kierował Piotr Pacewicz. Gdy zaproponował Wójcikowi przejęcie swojego stolka, spotkał się z odmową. W czasach, gdy wszyscy z oddziałów parli do Warszawy, Wójcik się nie spieszył.

Pacewicz, dziś redaktor naczelny OKO.press, nie pamięta tamtej sytuacji. Ale pamięta mały zespół, któremu przewodził. – Nakłady spadały, więc uznaliśmy w gronie naczelnych, że trzeba temu zaradzić. Razem z Jurkiem Wójcikiem i Pawłem Wujcem tworzyliśmy kreatywne, wesołe trio. Wymyślaliśmy tematy, które mogłyby przyciągnąć czytelników. Konieczne było myślenie wbrew gazetowym zasadom, bo gazeta z reguły opisuje, a my musieliśmy wymyślić coś, czego nie ma, czego jeszcze nie było, ale co będzie przydatne: projekty edukacyjne, przewodniki, informatory. Strzałem w dziesiątkę był cykl „Sprawdź, czy zdałeś” – podawaliśmy na łamach gazety prawidłowe odpowiedzi testów edukacyjnych. Jurek był bogatym źródłem pomysłów, potem zresztą stworzył team kreatywny z Grześkiem Piechotą. Procentowało jego doświadczenie z małego oddziału, bo tam naprawdę trzeba umieć wyczuć potrzeby czytelników.

– Siedząc w Gorzowie, miałem świadomość, że o wiele więcej dobrych rzeczy można zrobić w całej „Gazecie”. I zarzucałem Warszawę pomysłami. Na przykład projekt Wirtualna Polska. Internet był wtedy terra incognita, nie było wyszukiwarek, firmy tworzyły strony, o których nikt nie wiedział. Więc wymyśliłem, żeby stworzyć papierowy informator z adresami tych stron. Pukali się w głowę: internet chcesz do papieru wciskać? Dziennikarze ze wszystkich oddziałów obdzwaniali instytucje ze swojego terenu i wklepywali ich adresy WWW. Przewodnik po polskim internecie dał 40-procentowy wzrost sprzedaży! – chwali się Wójcik.

Tyle że on za pomysł zgarnął laury, a na wzrost tak naprawdę harowali inni – dziennikarze lokalni, na co dzień urobieni na swoim terenie po łokcie, musieli siedzieć za biurkiem i wykręcać numer za numerem, a potem bezbłędnie spisywać internetowe adresy. Zarzynie ludzi robotą i nieliczenie się z nimi wytykają Wójcikowi niemal wszyscy moi rozmówcy.

Piotr Pacewicz widzi to nieco inaczej. – Trochę obserwowałem Wójcika w roli menedżera. Wydaje mi się, że łączył dwie natury: narzucał swoje pomysły, często odjechane, a jednocześnie był otwarty na innych, przegadywał je z ludźmi i potrafił odstąpić – stwierdza Pacewicz.

W końcu przeprowadził się do Warszawy. Został zastępcą redaktora naczelnego „Gazety Stołecznej”. Z rekomendacji Wojciecha Fuska, poprzedniego naczelnego, który obejmował stanowisko szefa oddziałów lokalnych, do współpracy zaprosił go nowy naczelny Andrzej Stefański. – W „Stółku” Jurek nie był długo, ale zapamiętałem go jako człowieka od koncepcji, wizji. Miał nosa do tematów, które często przeradzały się w akcje redakcyjne – mówi Mariusz Jąłoszewski, reporter sądowy „Stołecznej”, dziś w OKO.press. – Ale był też otwarty na nasze pomysły. Podczas pierwszego kryzysu migracyjnego, w 2015 roku, nikt nie wiedział, jak temat ugryźć. A ugryźć było trzeba, więc poszedłem do Jurka i powstał cykl artykułów. Maciek Czarniecki pojechał na tydzień do Turcji i stamtąd sprawozdawał, a my na miejscu zrobiliśmy informator o uchodźcach. Znakomite, merytoryczne opracowanie, które przedrukowały inne polskie →

gazety. Niektóre jego pomysły nie zostały zrealizowane, choć były bardzo dobre. Pamiętam zaawansowany projekt stworzenia w „Wyborczej” działu prawnego, w który też byłem zaangażowany. Mógł konkurować z bardzo silną na tym polu „Rzecz” i „DGP”. Ale rozbił się o pieniądze – dodaje Jałoszewski.

– Z Jerzym pracowało się dobrze, potrafił korzystać z backgroundu, który miał spoza „Gazety”. Ale czułam, że nie lubi ludzi. Bardziej siebie. Na pewno był przesadnie ambitny – uważa dawna dziennikarka „GS”, ale swoje nazwisko zastrzega.

Bogdan Wróblewski, wieloletni sprawozdawca sądowy „GW”, także podwładny Wójcika w „GS”, na zawsze zapamięta imprezę, którą urządził w ogródku swojego podmiejskiego domu. – Przyjechał też Jurek z żoną. I nagle w środku zabawy poderwał się, że musi jechać do pracy. I zostawił nas z nieznaną nikomu kobietą. Moja żona była mocno zbulwersowana. Nasze dzieci mówiły na niego Jurek Ogórek. Dlaczego? Może przez obłę kształty i prawie łysą okrągłą głowę? – śmieje się Wróblewski.

Jerzy B. Wójcik nie jest ani smukły, ani atletyczny. Postura – średnia krajowa. Nie jest też typem adonisa. Zadbane, ale nieprzesadnie. Surowa męska uroda, na głowie siwiejąca szczecina, zero modnego dziś barberskiego zaczesu. Ruchy ma raczej stonowane, gestykulację umiarkowaną, głos spokojny, szemrzący. Ubiera się od lat tak samo: wygodne cichobiegi, porozpychane dżinsy, T-shirt i polarowa bluza, czasami sweter. Dużo pali.

Daleko mu do wymuszkanej elegancji prezesów, znacznie bliżej do abnegackiej nonszalancji starej konspiracy. Może dlatego tak dobrze rozumie się z Michnikiem. – Z Adamem na pewno idealnie zgrywamy się w uwielbieniu do „Wiadomości Literackich”, legendy i sztandaru polskiej liberalnej inteligencji międzywojnia: ja wielbię założyciela i redaktora „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego, a on Antoniego Słonimskiego – autora słynnych kronik zamieszczanych na łamach tygodnika, któremu dekady później sekretarował – i którego do dziś nazywa Szefem. Poza tym łączy nas „Wyborcza”, i to od prawie 30 lat – mówi Wójcik. I dodaje, że pracę magisterską pisał na temat eseju „Niezlomny z Londynu”. – A dałem jej tytuł „Dlaczego Adam Michnik nie ma racji”. Ale to było długo przed poznaniem Adama – zastrzega.

UWODZI I PORZUCA

„Stołeczna” była pierwszym szczebelkiem na drabinie agorowej kariery Wójcika. Mierzył znacznie wyżej. Jak zdradza wieloletnia redaktorka stołecznego dodatku, mniej czasu spędzał z żoną, bo antyszambrował w tak zwanej strefie dywanowej, czyli tam, gdzie rezydowali naczelni. Forsował wtedy „Metro”, dziennik rozdawany w ruchliwych punktach wielkich miast, którego naczelnym został w 2001 roku. Lekką formą i bezpłatną dystrybucją tytuł miał rywalizować z „Faktem”.

Z Wójcikiem współpracował wtedy Cezary Łazarewicz, niezależny publicysta, reportażyista, autor książek. – Jurka znałem krótko, ale intensywnie. Wiedziałem, że był królem oddziałów w „Gazecie”, a dziennikarze z gorzowskiej redakcji byli książętami. Stamtąd i z innych lokalnych ośrodków zbierał grupę najlepszych, którzy mieli tworzyć „Metro”. Tak nas motywował, że byliśmy przekonani, że robimy drugą „Gazetę Wyborczą”. Tworzył wokół tego jakiś mit założycielski – że wymyślamy perpetuum mobile. Ja miałem organizować w „Metrze” dział reportażu. Namówiłem Jacka Hugo-Badera, Mariusza Szczygła, Lidkę Ostalowską. Ale te reportaże miały być na trzy tysiące znaków!

No i budżet, jakim dysponowało „Metro”, okazał się śmiechu wart – wzrusza ramionami Łazarewicz. Tak jak wielu innych podwładnych, nie akceptował też stylu pracy Wójcika. – Jurek w pracy był pierwszy, już o ósmej rano, wychodził ostatni, około pierwszej w nocy. I chyba chciał, żeby inni tak pracowali, a przecie ludzie mają swoje życie. No, ale on był nie do zdarcia. Wciąż nakręcony. Miał tysiąc pomysłów na minutę. Prawa półkula z lewą walczyła o lepsze. Rzucił myśl za myślą, my je łapaliśmy, a on już miał kolejną. I nie było dyskusji. Miało być jak u Forda: możesz mieć kolor auta, jaki chcesz, byle był czarny.

Współpracownik Wójcika, który za nic nie ujawni swojego nazwiska, mówi bez ogródek: – Jerzy miał taki styl, że otaczał się dworem zaufanych, którym zapewniał pracę, ale z zastrzeżeniem, że jeśli on poleci, to oni też polecą. Zarządzał toksycznie: był miły, fajny, hojny w rozda-

**ZAANGAŻOWANY,
TYP LIDERA** mówią
o Wójciku jego koledzy.
– Nic się nie liczy,
tylko praca – mówią
oponenci



waniu łask, ale łatwo było z tych łask wypaść, a gdy ktoś przedstawiał mu służyć lub stał okoniem, bez pardonowo się z nim rozprawiał.

Jeszcze jedna opinia off the record: – Uwodzi, wykorzystuje i porzuca. Potrafi wbić nóż w plecy bliskiemu człowiekowi. Tak było z Wojciechem Fuskiem. Potrafi rozbijać emocje podwładnych – i nagle zniknąć. Tak było w gazecie „Metro”. Wylaził z kanciapy, roztaczał wizję, ludzie słuchali z otwartymi ustami i chcieli iść za nim w ogień. A Jurek po roztoczeniu wizji wychodził i nie było go kilka dni. On jest świetny w rzucaniu mniej lub bardziej mądrych pomysłów, nad którymi – żeby je ucieleścić – dzień i noc musiałby pracować sztab ludzi.

Inny był podwładny dodaje: – Mówią o Wójciku charyzmatyczny lider, oczywiście ci zapatrzeni w niego jak w obrazek. A ja pamiętam psychologiczne pranie mózgow. Nikt w życiu nie wymasował mi ego tak, jak Wójcik, kiedy byłem przydatny, to naczy zasuwał na pełnych obrotach niemal 24 godziny na dobę. I nikt mnie tak nie spostonował, kiedy odchodziłem.

Jeszcze inny, oczywiście na offie: – Szkoła Wójcika – nic się nie liczy, tylko praca. No bo skoro dziś napisałeś czołówkę, to co stoi na przeszkodzie, żebyś jutro napisał kolejną, a nawet dwie? Gość tkwił za biurkiem, kiedy przychodziłem i kiedy wychodziłem. Był w robocie nawet w piątki, choć w soboty „Metro” się nie

ukazywało. Dziś mam wrażenie, że to nie tyle pracoholizm, ile potrzeba kontrolowania wszystkiego i wszystkich – próbuje diagnozować był pracownik.

Inny był pracownik „Gazety” przywołuje anegdotę, która jego zdaniem dobrze pokazuje sposób zarządzania Wójcika. Lubi on opowiadać, że dobry zespół jest jak karawana idąca przez pustynię. Kierownik karawany nominuje co jakiś czas lidera, który idzie pierwszy. Ten czuje się doceniony i przebiega do przodu. Jednocześnie jest przyzwolenie, żeby ci z tyłu w niego walił, pospieszali go, chcąc też dostąpić zaszczytu prowadzenia. To powoduje, że lider stara się podwójnie, dopóki nie opadnie z sił. Wtedy wraca na koniec karawany, żeby odpocząć, a na jego miejsce wskakuje nowy pomazaniec.

Takich pomazańców w orszaku Wójcika było wielu. Jeden z nich, już niepracujący w spółce, mówi, że na wyrzucenie na koniec karawany skazywała jedna bolesna szpila Wójcika. Jego szczególnie zabolowało stwierdzenie pryncypała, że robi obstrukcję wobec „Gazety”. Z kolei kierownik działu redakcyjnego, tłumaczący na kolegium, że nie ma ludzi do bardzo obszernego zadania, usłyszał: „No, skoro nie jesteś w stanie tego wyegzekwować, to znaczy, że ci nie zależy”, po czym na jakiś czas wyładował za ogonem ostatniego wielbłąda. Byli i tacy, co ugrzęźli w piachu i nigdy nie dotarli do oazy.

Kolejny anonimowy ekspracownik przytacza powiedzonko Wójcika, mające go celnie charakteryzować: „Herbata jest posłodzona, ale niezamieszana, i dlatego wydaje się gorzka. Wystarczy ją tylko zamieszać”, „Powązki są pełne ludzi niezastąpionych” oraz – jego zdaniem najbardziej emblematyczne – „Nie zawsze jest kawior”.

A jeszcze inny wspomina: – Mówili o nim pozytywny wariat, ale to była maszyna. Parł do przodu jak czołg, wytaczał ciężkie działa. Tak przeforsował „Nowy Dzień”.

„NOWY DZIEŃ” JAK WOJNA

Era „Nowego Dnia” nastąpiła pod koniec 2005 roku i zgasła w lutym roku następnego. – „Fakt” okrzyknął, „Metro” sobie egzystowało i wtedy Wójcik z Fuskim zaczęli przepychać projekt kolejnego dziennika. No, to już była ogólnopolska branka na wielką skalę. Fusek uruchomił program mobilny, dzięki któremu firma płaciła przez pierwsze pół roku za mieszkanie ludziom, którzy zdecydowali się na przejście do Warszawy. Pensje też były lepsze niż w „Metrze”, choć wciąż w dolnych widelkach warszawskich – wspomina jeden z redaktorów z Czerskiej.

Dariusz Barański z gorzowskiej „GW” pamięta rekrutację do tytułu. – Jurek ściągnął Artura Bryknera, ale nie ot tak – Artur, naprawdę świetny, najpierw pojechał do Warszawy na casting, czyli rozmowę kwalifikacyjną.

– Obserwowałem „Nowy Dzień” z dystansu. Jerzy Wójcik ze swym przyjacielem Grzegorzem Piechotą znaleźli gdzieś w Ameryce Południowej gazetę wyłącznie z dobrymi informacjami i uznali, że to idealny produkt na polski rynek. Tyle że u nas czytelnicy tego nie lubią. Ale Wójcik uparł się, że tak ma być, jak on sobie wymyślił – przypomina sobie Łazarewicz.

Piotr Pacewicz widzi to inaczej. – Utarło się mówić, że „Nowy Dzień” to nieudane przedsięwzięcie czy wręcz porażka. Z perspektywy czasu jednak widać, że po prostu oczekiwania wobec tego tytułu były nadmiernie rozbudowane. Spodziewano się pogromu tabloidów, zwłaszcza „Faktu”, a to było niere-

alne. „Nowy Dzień” był w końcu gazetą dobrych wiadomości, robioną na poziomie dalekim od stylu bulwarowego – ocenia Pacewicz.

Grzegorz Kopacz, opisując 15 lat temu w „Press” krajobraz po klęsce „Nowego Dnia”, podał, że decyzję o zamknięciu tytułu podjęli akcjonariusze zaniepokojeni spadkami sprzedaży. Cyferki leciały w dół – w styczniu było to 130 tys. egz., a poziom rentowności ustalono na 250 tys. egz. Niefortunnie się złożyło, że parę dni wcześniej Agora ogłosiła raport finansowy za 2005 rok. Wynikało z niego, że z powodu „Nowego Dnia” spółka w IV kwartale straciła 27,3 mln zł, a jej zysk netto spadł do 8,5 mln zł i był czterokrotnie mniejszy niż rok wcześniej. „Ogłoszenie wyników pogłębiło spadek notowań akcji Agory na Warszawskiej Gieldzie Papierów Wartościowych. Od początku stycznia kurs spadł z 75,50 zł do 51,50, czyli o 30 proc. Maklerzy rekomendowali sprzedaż akcji” – pisał Kopacz.

Gdyby dziś Agora miała podobne wyniki, maklerzy wzywali by do ich skupowania.

– „Nowy Dzień” to była wojna. Tajny projekt, poufnie przygotowywany w redakcyjnych zakamarkach, na polecenie Heleny i ówczesnego zarządu. Uważam, że za szybko zamknęli ten dziennik. Ale też niewiele osób wyciągnęło wnioski z tej porażki. Ja i Grześ Piechota – tak – twierdzi dziś Jerzy Wójcik.

Do ostatniego numeru napisał edytorial. – Taki z bebeczów, coś że „Nowy Dzień” odchodzi, ale nowy dzień nastaje dla wszystkich... O ósmej rano zadzwoniła do mnie z Tok FM Janina Paradowska i spytała: „To jaki jest ten pana nowy dzień?”. Stałem w drzwiach, bo właśnie wróciłem do domu. – Trochę się zmienił. Odprowadziłem syna do przedszkola, zaraz nakarmiłem psa – mówię. „A co z żoną?”. – Zależy mi, aby ci, którzy mi zaufali, znaleźli pracę. „A co z panem? Wraca pan do gazety?”. – Nie zastanawiałem się. Nie mam żadnej flagi – relacjonuje Wójcik.

Zaraz po audycji Paradowskiej zadzwonił do niego Paweł Ławiński, wtedy zastępca naczelnego „GW”. – Jurek, słyszałem, że nie masz flagi. Ale twoją flagą jest „Gazeta”. Poprowadź za mnie numer, twoje nazwisko znajdzie się na pierwszej stronie – proponował. – Moi ludzie właśnie stracili pracę, a jutro mają zobaczyć, że ja już tę pracę mam? Dziękuję, ale nie – odpowiedział mu Wójcik.

– Potem się dowiedziałem, że ludzie w jakimś pomieszczeniu ustawili kamerę, kolejno wchodzili, jak do pokoju Wielkiego Brata, i dziękowali mnie i Fuskowi. Na imprezie pożegnalnej posadzili nas w pierwszym rzędzie i puścili to nagranie, to były właściwie wciąż te same słowa, ale wypowiedziane przez jakieś 40 osób... Płakaliśmy obaj jak bobry.

Przez kilka dni wręczał wypowiedzenia – w „Nowym Dniu” pracowało 120–130 osób. – Wszyscy, którzy przyszli do nas z „Gazety”, wrócili do „Gazety”, a ci, którzy przyszli spoza – dzięki programowi Paradowskiej – znaleźli pracę u innych wydawców – twierdzi Wójcik.

HAGIOGRAFIA

Wójcik ma na koncie sporo inicjatyw prosprzedażowych lub dla „GW” prestiżowych. Wszystkie lub prawie wszystkie zostały spisane i skodyfikowane w dokumencie, który dostałam, „żeby mi się łatwiej pracowało”. Roboczy tytuł brzmi: „Zbiorowe CV Jerzego B. Wójcika, przygotowane dzięki pomocy kilkunastu jego →

współpracownik i współpracowników latem 2021 r.". Na własny użytek nazwałam je hagiografią.

„Nawet w tym niedokończonym dokumencie widać, ile Jerzy zrobił dla »Gazety Wyborczej«, że dałby się za nią pokroić, że bez Jerzego »Wyborcza« nie osiągnęłaby tak wielkiego sukcesu w ostatnich latach. (...) – »Wyborcza« odniosła wielki sukces prenumeratorowy, ma zrównoważony budżet, inwestuje w oddziały, ma dwie fundacje z okazałymi donacjami na jakościowe dziennikarstwo, zawarła strategiczne partnerstwa i zaczęła lub niebawem zacznie prowadzić nowe aktywności, które przyczynią się do zapewnienia jej pomyślnej przyszłości ekonomicznej i niezależności redakcyjnej” – napisał do mnie Waldemar Paś, redaktor i dziennikarz »Wyborczej«, którego Wójcik ściągnął do Warszawy z Gorzowa Wielkopolskiego, inicjator i główny redaktor dokumentu. – Jerzy kiepsko dba o swój PR i nie chwali się osiągnięciami, za którymi stoi. Stąd pomysł napisania tego niecodziennego CV – dodał. Kto jest adresatem tego dzieła – nie wiadomo.

Wójcik chyba trochę się go wstydzi. – Wiem, że powstaje, ale go nie czytałem – zapewnia. Może dobrze, że nie czytał, bo są tam stwierdzenia typu: „To dzięki pomysłom Jerzego Wójcika, jego niezwyklej kreatywności, determinacji i pewności siebie połączonej jednakże z pokorą i gotowością przyznania się do błędów, dogłębnemu researchowi i racjonalnemu planowaniu kolejnych ruchów »Gazeta Wyborcza« jest dziś w bardzo dobrej sytuacji finansowej i czytelniczej”. I inne „hubu dubu”. Ktoś o mniejszym ego oprawiłby sobie cały dokument w ramki, ale gdzie powiesić tyle ramek? To „work in progress” ma na razie 22 strony w standardowym Wordzie, a zapowiada się na więcej.

Wśród przywoływanych w tytule dokumentu „współpracownik i współpracowników” są m.in.: Joanna Kwas, dyrektorka sprzedaży »Wyborczej«, Joanna Mosiej-Sitek, zastępczyni wydawcy »Wyborczej«, Beata Łyżwa-Sokół, szefowa działu foto »Wyborczej«, Aleksandra Klich-Siewiorek, redaktorka naczelna »Wysokich Obcasów“ i »Wysokich Obcasów Extra“, Dorota Adamczyk-Mroczek, dyrektorka subskrypcji cyfrowych, Dominik Uhlig, szef serwisu BIQdata, Bartosz Wieliński, wicenaczelny »Wyborczej«, szef działu zagranicznego, Piotr Głuchowski, redaktor i reporter »Wyborczej“ czy Miłosz Malinowski, dyrektor finansowy »Gazety Wyborczej“.

Większość to kobiety. Na Czerskiej mówi się, że Wójcik bardzo je docenia. Niektóre obdarowuje stanowiskami – niczym klejnotami. Tak pracownice (nie tylko te pominięte) tłumaczą pewne awanse.

To nie jest przypadek Martyny Turskiej, wydawczyni podcastów »Gazety Wyborczej“. Pytana, jakim Wójcik jest kolegą, odpowiada stanowczo: – Nie mam z Jerzym koleżeńskich układów, jest po prostu moim szefem. Mam same dobre doświadczenia w pracy z nim. To on ściągnął mnie do »Gazety“, gdy kończyłam studia Nowe Media na uniwersytecie w Utrechcie – chyba zapadłam mu w pamięć, bo wcześniej w Wydawnictwie Agora współtworzyłam ciekawe projekty, m.in. »Gazetę Pisarzy“ – akcję »Wyborczej“, która na jeden dzień oddała redakcję we władanie pisarzom. Zapytał, czy wracam do kraju, bo potrzebuje kogoś, kto stworzyłby podcasty. Miał nosa. Po jakimś wyjątkowo skomplikowanym ekonomicznym podcaście powiedział mi: „Wyobrażam sobie, że na ostatnie piętro jedzie windziarz z lordem, słuchają naszego podcastu, a potem sobie o nim swobodnie rozmawiają.

Odcinki powinny być dla każdego”. Teraz kieruję się tymi słowami przy tworzeniu każdego odcinka – opowiada Turska.

I przywołuje jedno z ostatnich spotkań z szefem. – Zaczepił mnie na korytarzu, w biegu, żeby opowiedzieć o pomysłach na podcasty w 2022 roku. „Jerzy, planujesz zadania na nowy rok, a ja właśnie idę, by ci powiedzieć, że jestem w ciąży i pewnie od stycznia pójdę na zwolnienie, trzeba znaleźć zastępcę”. Przystała i powiedział: „To najlepsza wiadomość. Dzieci są wspaniałe. Zawsze możesz na nas liczyć i już się cieszę na twój powrót po macierzyńskim. Gratuluję!”.

Brak w zbiorowym CV Wojciecha Fuska, przez lata najbliższego współpracownika Wójcika. To zrozumiałe, bo został przez niego zwolniony. Nie wiadomo dlaczego jednak nie ma o nim ani jednej wzmianki. Na przykład, że był wydawcą »Nowego Dnia“, którym Wójcik kierował i na którym obaj polegali, albo że z ramienia naczelnych nadzorował cyfryzację »GW“, w tym start i pracę działu subskrypcji.

Wielu rozmówców opowiadało mi, że Wójcik rozprawił się z nim wyjątkowo perfidnie: otóż wmówił mu, że jest już wypalony zawodowo, więc rozstają się tak naprawdę dla jego dobra. Fusek o Wójciku mówić ze mną nie chce.

Wypowiedzenie czekało. Tego dnia nie pracował, przczytał się w domu. Siedział na tarasie, gdy usłyszał: „Jurek, otwieraj”

– Zwolnienie Wojtka Fuska to była najtrudniejsza decyzja, jaką w życiu zawodowym podjąłem, ale nie mogłem podjąć innej. I nie były to powody osobiste, bo przecież się przyjaźniłiśmy. Nigdy nikogo nie zwolniłem ani nie przyjąłem pod wpływem nacisków. Zwolnienie go było moją decyzją. Więcej o tym nie chcę mówić. Po prostu. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś uda się spotkać i zrobić coś razem dla spraw, które nas łączyły przez wiele lat. Ja przynajmniej się postaram. Nigdy nie zapomnę tamtej rozmowy – przyznaje Wójcik.

ZAMACH NA „GAZETĘ”

Czy Jerzy B. Wójcik przypuszczał, że sam trafi pod gilotynę? 9 czerwca wypowiedzenie od zarządu tylko czekało na jego podpis. – Ale nigdy nie zostało mi wręczone – mówi. Bo na wieść, że ofiarą planowanej przez zarząd Agory fuzji ma być dyrektor wydawniczy »GW“, runęła lawina protestów. – Protestowały osoby, na których zdaniu mi zależało, z którymi zdaniem się liczę, ale przecież nimi nie steruję. Listy, stanowiska. Strajk Kobiet, ORP, KOD, Wolne Sądy, Żakowski, Kasprzak, Illg, Gutkowski, Hołdys, stowarzyszenie firm rodzinnych, Dominika Kulczyk, Jola Sacewicz z LA, przedstawiciele Polonii w Kanadzie i wiele innych... Ja się w to nie angażowałem w żaden sposób, nie brałem udziału w spotkaniach, podczas których Adam wygłaszał swoje zdanie – twierdzi Wójcik. I zapewnia, że skupia się na codziennej pracy i innych do tego namawia.

9 czerwca nie pracował, przyczytał się w domowych pieleszach. Mijała szesnasta. Siedział właśnie na tarasie („beton i kawałek trawniczka”), gdy usłyszał gwizdanie i głos: „Jurek, otwieraj”. Pod bramą stali dziennikarze i dziennikarki, redaktorzy, menedżero-

wie, z torbami pełnymi przekąsek. „Otwieraj, nie siedź tak sam!” – zażądali. A potem pojawiali się kolejni, w sumie na małej przestrzeni zmieściło się ze 40 osób. – Jarek Kurski był we Włoszech, więc między pizzą a coca-colą postawili smartfon, żeby też mógł z nami być. Byłem oszołomiony. A tu jeszcze Mirek Maciorowski rzucił w mailu do redakcji: „Tamci mieli Walentynowicz, a my mamy ciebie” – opowiada wzruszony Wójcik.

Pawłowi Krysiakowi, szefowi lubelskiej „GW”, zależy, by wybrzmiała taka oto opinia: – Historia związana z próbą zwolnienia Jurka Wójcika jest po coś. Szefowie i pracownicy naszej firmy muszą sobie zadać najważniejsze pytanie: Czym jest „Gazeta Wyborcza”? Czy jesteśmy tylko po to, aby wytworzyć produkt, który przyniesie zysk? I powiedzmy sobie szczerze, w „Wyborczej” zwalniano przez ostatnie 30 lat ludzi, którzy byli jej filarami, którzy pracowali tam dniem i nocą nie dla pensji i kariery. Agora rozstała się z wieloma wspaniałymi dziennikarzami, bo „trzeba było ciąć koszty”, bo realia rynkowe itp. Czy rzeczywiście trzeba było? No właśnie. Może gdybyśmy sobie zadali wtedy pytanie, czym jest „Gazeta Wyborcza”, tych zwolnień by nie było – pyta retorycznie Krysiak. I dodaje: – Jurków Wójcików w „Wyborczej” jest bardzo wielu. Tak naprawdę ten list w jego obronie był listem w obronie „Gazety Wyborczej” jako cholernie ważnej instytucji w historii

Bartosz Hojka, prezes Agory, napisał zdawkowo: „Proszę wybaczyć, ale nie będę się wypowiadał na temat Jurka”

Polski. W obronie pewnej wizji. Polska emigracyjna miała paryską „Kulturę”, Polska po 4 czerwca ma „Gazetę Wyborczą”. I to jest piękna historia. Czasami chce się krzyczeć, kiedy dziś, w 2021 roku, ktoś chce sprowadzić „Wyborczą” do fabryki treści, która ma przynosić zysk. Przed nami najważniejsze wyzwanie, obronić demokrację przed autorytaryzmem. „Gazeta Wyborcza” wspólnie z innymi wolnymi mediami znów staje się instytucją jednoczącą ludzi wokół najważniejszej sprawy. W tym momencie potrzeba nam bardzo wielu Wójcików.

Jarosław Kurski, I zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”, od czterech miesięcy szarpie się z – jak to nazywa – zamachem zarządu Agory na „Gazetę”. Już 8 czerwca wieczorem dowiedział się o planowanym przez zarząd połączeniu w jeden pion portalu Gazeta.pl, serwisu Wyborcza.pl i „Gazety Wyborczej” oraz zwolnieniu Jerzego B. Wójcika. Działal błyskawicznie. 9 czerwca, zanim wybiło południe, całe kierownictwo „GW” wydało oświadczenie twardo sprzeciwiające się tym decyzjom, a Adam Michnik miał zagrozić złożeniem rezygnacji. Przygotowany na rano komunikat giełdowy obwieszczający rewolucję w strukturze Grupy Agora musiał poczekać do popołudnia.

– To nie jest spór personalny – podkreśla dziś Kurski. – W tej chwili „Gazeta Wyborcza” to nie jest tylko redakcja, ale zespół. Arbitralne i jednostronne odwołanie wydawcy bez konsultacji z redakcją stanowi śmiertelne zagrożenie dla niezależności „Gazety”. Niezależność redakcji definiowana jest przez niezależne przychody, a te pochodzą od czytelników, którzy płacą za treści. I to jest istota związku między dyrektorem wydawni-

czym a redaktorem naczelnym – podkreśla Kurski. Zapewnia, że Jerzy Wójcik jest jednym z najlepszych specjalistów na rynku. Jego zdaniem dowodem na to jest nie tylko niekwestionowany sukces prenumeraty cyfrowej, ale też inicjatywy, które uczyniły z redakcji „GW” redakcję nowoczesną, takie jak Fundacja Gazety Wyborczej i Wysokich Obcasów, międzynarodowa współpraca z IENA, czyli zrzeszeniem wiodących gazet europejskich, Szkoła Reporterów, dział śledczy, BIQdata i wiele innych. – Każda wybitność ma swoją cenę. Ale nie można pozbywać się ludzi kreatywnych tylko dlatego, że bywają trudni – uważa Kurski.

Zarząd Agory jest wstrzemięźliwy w liczbie i tonie publikowanych oświadczeń. Od początku sporu wystosował ich zaledwie trzy, podczas gdy redakcja – co najmniej siedem, nie licząc petycji pracowniczych. Może dlatego Bartosz Hojka, prezes Agory, długo zastanawiał się, czy udzielić komentarza do tego tekstu. Wreszcie napisał zdawkowo: „Proszę wybaczyć, ale nie będę się wypowiadał na temat Jurka”.

Za to redaktorzy nie mają przesadnie dużych zahamowań: „To samobójcze uderzenie w etos »Wyborczej«”, „Takie zmiany nie mogą się dokonywać w trybie wewnętrznego zamachu stanu”, „To potrójny błąd: etyczny, polityczny i biznesowy” – piszą w listach do zarządu.

Wójcik: – To jest zamach na „Gazetę”. Nie chodzi o to, żebym ja wygrał, bo ja medale już dostałem. Ważne, żeby „Gazeta Wyborcza” wygrała. Tu naprawdę nie chodzi o mnie. Ja w każdej chwili mogę wstać i wyjść, mam swobodę, by powiedzieć: „Nie to nie”. Adam mi powiedział: „Jurek, jako szef nigdy w życiu nie dostaniesz większej premii niż ta od zespołu”.

Jacek Żakowski z „Polityki” i Collegium Civitas, współpracownik Tok FM, w czerwcu w liście do kilku osób z zarządu i kierownictwa redakcji „GW” napisał m.in. „»GW« żyje dzięki wizerunkowi niezłomnej. Złamana przez kogokolwiek straci nie tylko sporą część ikonicznych autorów i redaktorów, ale też wielu czytelników, prenumeratorów i reklamodawców. Zamiast wzmocnić Agorę, pociągnie ją pod wodę” – stwierdził wtedy Żakowski. Dziś podtrzymuje tę diagnozę. I dodaje: – Odszedłem z „Gazety” m.in. w wyniku inwazji kultury korporacyjnej. Uważam, że „Gazeta” ma rację bytu tylko jako emanacja wspólnoty obywatelskiej, a nie jako produkt korporacyjny. Korporacja zawsze jest zachłanna. Byłoby lepiej, gdyby tworzyła własne byty, a nie dekonstruowała te, które ma.

W podobnym tonie wypowiada się Jerzy B. Wójcik. – Gdy zostałem pięć lat temu dyrektorem wydawniczym, celem było zawrócić z drogi do Alei Zasłużonych na Powązkach. Globalne trendy w prasie zabijały gazety takie jak nasza. Wierzę, że po piekielnie trudnych latach transformacji tamta perspektywa jest już przeszłością. „Wyborcza” jest polskim i europejskim liderem cyfrowych prenumerat, kolejny rok ma bardzo dobry wynik finansowy. „Gazeta” jest wrogiem numer jeden dla państwa, mamy dziesiątki procesów, ale rozwijamy się, zatrudniamy ludzi z Polska Press, otwieramy oddziały lokalne. Jesteśmy ogarnięci intelektualnie i organizacyjnie – stać nas na wspieranie wartościowego, markowego dziennikarstwa, nie zredukujemy go tylko do poziomu efektywności finansowej, jak to robią korporacje. Od pięciu lat, rok po roku i dzień po dniu, udowadniamy, że da się zachować misję, a jednocześnie zarabiać i rozwijać się – przekonuje Wójcik.

Ale w korporacji wciąż tkwi. ♦